

Magia rockowych doppelgängerów

Bartosz Szurik

Koncerty Pink Floyd, promujące w latach 1980-81 płytę „The Wall”, zaczynały się intrygująco. Przemówienie konferansjera zapowiadającego spektakl było nagle przerywane i przy efektownej grze świateł rozentuzjzowanej publiczności objawiał się na scenie zespół serwujący hardrockowe (jak na standardy Floydów) pierwsze takty piosenki „In the Flesh?”.

Ale już sam tytuł kompozycji („We własnej osobie?”) zdradzał, że nie wszystko może być takie, jakim się wydaje. I rzeczywiście – to nie muzycy Pink Floyd ukazywali się swoim fanom, a zupełnie inny zespół, ubrany w maski z twarzami Watersa, Gilmoura, Masona i Wrighta. Pod koniec koncertu, w drugiej części piosenki, wokalista tłumaczył publiczności: „Pink poczuł się źle i został w hotelu. Nas przysłano na zastępstwo”.

Dziś ta teatralna zagrywka nabiera nowego znaczenia. Rzeczywiście, Pink (Floyd) ma się nie najlepiej – ostatni raz w trasę koncertową wyruszył 15 lat temu. Ale spokojnie. Dla wytrwałych fanów znajdzie się „zastępstwo”, które pozwoli cieszyć się ich muzyką. Najpopularniejsze niedawno znów odwiedziło nasz kraj.

The Australian Pink Floyd Show to, ściśle ujmując, nie „zastępstwo” z „In The Flesh?”, nawet nie „cover band”, czyli zespół grający covery – własne przeróbki znanych piosenek – a „tribute band”. Polskiego odpowiednika tego wyrażenia nie ma, choć angielskie słowa łatwo przetłumaczyć. „Tribute” oznacza „hołd”, „band” to oczywiście „zespół”. Byłby więc tribute band „zespołem składającym hołd” muzyce jakiejś grupy, w przeciwieństwie do cover bandu, który muzykę tę przerabia na swój sposób. Różnica jest znacząca, a potwierdza ją m.in. główny bohater filmu „Rock Star”, którego fabułę dość luźno oparto na historii Tima Owensa –



Australijska ABBA – Björn Again
– hołd z domieszką humoru.

Wiele klasycznych zespołów rockowych kończy działalność. Wzrasta za to liczba „cover” i „tribute bandów”, mających zapełnić lukę po nich.

młodego muzyka, przeniesionego wprost z amatorskiego „tribute bandu” heavymetalowej grupy Judas Priest do oryginalnej formacji, gdy jej szeregi opuścił wokalista Rob Halford. Prowadzący swój amatorski projekt bohater, wzorowany na Owensie, nie tylko powtarza z wyższością „jesteśmy tribute bandem, a nie cover bandem!”, ale też w pierwszych słowach filmu zdradza idę tej formy działalności: nie chodzi jedynie o kopiowanie muzyki nuta w nutę, ale o naśladowanie każdego scenicznego gestu, każdego spojrzenia idoli. O ile więc „cover bandem” – powracając na poletko Pink Floyd – będzie choćby przerabiający ich utwory na bluesową nutę Blue Floyd, o tyle na miano „tribute bandu” zasługuje The Australian Pink Floyd Show. I chociaż ci pierwsi z muzycznego punktu widzenia są nieopisanie bardziej interesujący, komercyjny sukces tych drugich stanowi zjawisko zbyt ciekawe, by mu się nie przyjrzeć.

Zrąb formacji The Australian Pink Floyd Show powstał w Adelajdzie, w Australii Południowej, w 1988 roku. Pięta co do wielkości miasto w kraju, którego większość stanowią pustynie, najogólniej mówiąc, nie jest miejscem, do którego tłumnie przybywają pierwszoligowe zespoły rockowe. Nic więc dziwnego, że gdy powstało Think Floyd – jak wówczas nazwano grupę – działało już w Adelajdzie kilka popularnych tribute - bandów: lokalne Led Zeppelin, Deep Purple czy Guns’n’Roses. Wśród nich Think Floyd wyróżniali się tym, że już od samego początku półprofesjonalni muzycy dużo uwagi poświęcili wiernemu odtwarzaniu niuansów z twórczości swoich idoli. Gitarzysta i wokalista Steve Mac zbudował między innymi maszynę imitującą pamiętną symfonię zegarów z albumu „The Dark Side of The Moon”. Ponadto zespół używał na koncertach świateł, wizualizacji, a nawet kwadrofo-

nicznego nagłośnienia, nawiązujących do działalności Floydów.

Pierwszym z kilku przełomowych momentów w historii grupy był rok 1993, kiedy to Australijczycy nawiązali współpracę z największym fanzinem (czasopismem tworzonym przez fanów) Pink Floyd: „Brain Damage”. Za namową wydawcy, Glenna Poveya, zostali ściągnięci do Wielkiej Brytanii – już pod nazwą The Australian Pink Floyd Show – na koncert przy okazji zjazdu wielbicieli zespołu. Pozytywne przyjęcie wymagającej, bo składającej się głównie z zagorzałych fanów publiczności zaowocowało trasą koncertową „Aussie Floyd” po Wyspach i Europie. Po kilku przetasowaniach personalnych zespół doczekał się wyróżnienia w 1994 roku. Po występie w Croydon wyrazy uznania złożył muzykom sam David Gilmour, który postanowił osobiście się przekonać, jak to jest

née po USA. Dziś, na początku 2011 roku, w chwili rozpoczynania kolejnej dużej trasy koncertowej, The Australian Pink Floyd Show chwala się, że ich spektakl do tej pory obejrzały ponad trzy miliony widzów. Rzeczywiście, niejeden artysta mógłby im pozazdrościć rozmiaru sal, w których grają. W Warszawie gościli na Torwarze – największym krytym obiekcie stolicy, w którym odbywają się podobne imprezy.

Trzeba przyznać, że Australijczycy, kierujący się dewizą: „naszą muzykę traktujemy śmiertelnie poważnie, ale siebie samych – z dystansem”, nie szczędzą wysiłków, by zrobić wszystko, by ich koncerty przypominały oryginalne Pink Floyd wzbogane znaczną liczbą... kangurów.

W misji naśladowania, czy wręcz „wskrzeszenia do życia” legendarnych artystów, nie są odosobnieni. Z samych tylko rodaków Aussie Floyd warto wspo-

Podobne przypadki trudno zliczyć. Same zespoły naśladowujące The Beatles – począwszy od grupy The Buggs, być może pierwszego w historii rockowego „tribute bandu”, to istny legion wykonawców. Warto nadmienić, że niektóre z nich specjalizują się w wybranych okresach z historii działalności Wielkiej Czwórki. Ale jeśli najsłynniejszy rockowy zespół świata cieszy się brygadą naśladowców, to naśladowcy „króla rock’n’rolla” tworzą wręcz armię. Kilka lat temu krążył nawet dowcip, że jeżeli liczba „Elvisów” utrzymała się wzrost, to w roku 2019 sobowtóry Presleya będą stanowić jedną trzecią światowej populacji.

Przyczyna popularności tego zjawiska wydaje się jednak zupełnie inna i – pomijając przypadki zahaczające o psychopatologię – jest bliższa popularności gier konsolowych w stylu „Guitar Hero”, w których gracz, podobnie jak udający Elvisa fan, chociaż na chwilę wciela się w postać rockowej gwiazdy.

Jak jednak wytłumaczyć popularność „tribute bandów”? Może odpowiedź jest prosta i rację ma Roger Glover z Deep Purple, który to zespół, oczarowany Dios Salve a la Reina, zabrał Argentyńczyków we wspólną trasę koncertową: „W muzyce lat 70. wydarzyło się coś magicznego i dlatego zespoły przerabiające utwory legendarnych grup pokroju Queen, Led Zeppelin czy Pink Floyd mają przed sobą wielką przyszłość”. Czy ta „magiczność” rzeczywiście oznacza „coś więcej”, czy jest to wynik prostego rozumowania: 1) wiele osób lubi artystę X i z chęcią przyjdzie na jego koncert; 2) artysta X już nie koncertuje lub robi to rzadko; ergo: wielbiciele artysty X z chęcią przyjdą na koncert artysty X1 podobnego do X, o ile tylko będzie to możliwe?

Z drugiej strony rzecz wygląda zgoła inaczej. Przecież zważywszy na fakt, że istota gwiazdy rocka opiera się na jej wyraznej indywidualności – wydaje się, że nie ma nic bardziej godzącego w rock’n’rollowy etos niż udawanie innego muzyka. Niektóre koncerty „tribute bandów” więcej zaś mają wspólnego z teatrem, a ich członkowie są raczej aktorami grającymi muzyków niż muzykami występującymi na scenie. Jak to możliwe, że fani zawierają krytycyzm i dają się uwieść tym oczywistym „podróbkom”?

Uczestnictwo widza w koncercie nawet najlepszego „tribute bandu” zawsze stanowi formę zastępstwa. Nic więc dziwnego, że najbardziej znane są zespoły, które biorą na warsztat twórczość artystów już



Król był tylko jeden, ale jego sobowtórów zliczyć nie sposób.

Foto: Paul Smith/Martin Fox

posłuchać granych na co dzień utworów z perspektywy zwykłego widza. Po dwóch latach, 6 marca 1996, muzyk zaprosił Australijczyków do udziału w uroczystości z okazji swoich 50. urodzin. Występ TAPFS zakończył się wspólnym odegraniem kilku piosenek przez członków Australian i oryginalnego Pink Floyd. I chociaż ci drudzy znajdowali się w wyjątkowo imprezowych nastrojach, nie sposób zbagatelizować takiej nobilitacji.

Po uzyskaniu „namaszczenia” od Gilmoura i spółki („są lepsi od nas!” – zachwalał Nick Mason) popularność tribute bandu znacznie wzrosła. Kolejne trasy zaowocowały większym rozmachem, rozbudowaniem instrumentarium o chórki i saksofonistę oraz rosnącą liczbą ciekawych zespołu fanów. Grupa odnosiła kolejne sukcesy: wystąpiła w elektrowni Battersea (znanej z okładki płyty „Animals”), na festiwalu w Glastonbury czy w Royal Albert Hall, w końcu odbyła tour-

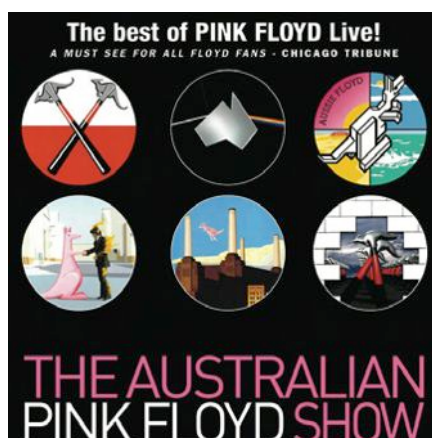
nieć o Björn Again, czyli „tribute bandzie” szwedzkiej grupy ABBA lub o The Australian Doors Show, który wzbudził niemałą konsternację wśród fanów rocka, gdy na początku lat 90. nagrał dla australijskiego programu telewizyjnego utwór „Stairway to Heaven” à la The Doors. Wersja brzmiała tak sugestywnie, że można było uwierzyć, że klasyk Zeppelinów śpiewa sam Jim Morrison, który przecież nie dożył premiery tej piosenki!

Naturalnie nie tylko Australia ma swoje odpowiedniki gwiazd. Ciekawie prezentuje się choćby argentyński ekwiwalent grupy Queen – Dios Salve a la Reina (Boże, chroń królową). O ile członkowie Aussie Floyd upodabniają się do zespołu, którego muzykę grają dzięki stosowaniu podobnych lub wręcz tych samych rekwizytów scenicznych, to muzycy południowoamerykańskiego Queen, niczym fantastyczni doppelgängerzy nawet fizjonomią przypominają Freddiego Mercury czy Briana Maya.

nie działających. „Osieroceni” fani nie mogą wybrzydzać i tłumnie przybywają na występy „zespołów zastępczych”. Trudno sobie jednak wyobrazić, by osoba mająca możliwość zobaczenia oryginalnego artysty, wybrała się na koncert jego epigonów. Bo jakkolwiek dobre by nie były wymieniane powyżej „tribute bandy”, to w żadnym z nich nie ma nikogo, kto naprawdę potrafiłby odtworzyć gitarowy styl Davida Gilmoura, głos Freddiego Mercury czy ekspresję Jima Morrisona. Nawet gdyby zdolni naśladowcy potrafili to zrobić, kwestią decydującą jest tutaj uczucie płynące z kontaktu z autorem materiału, pierwowzorem wykonawcy, oryginałem.

Przychodzi na myśl porównanie ze sztukami plastycznymi: nawet najdoskonalsza reprodukcja dzieła sztuki nie będzie miała w sobie tego czegoś, co można nazwać „aurą oryginalności”. Żeby być precyzyjnym: to raczej nie dzieło sztuki posiada tę aurę; wytwarza ją świadomość obserwatora. Jak pokazały różne przypadki, gdy podważano autorstwo płótna uznawanego wcześniej za oryginalne arcydzieło znanego malarza, „aura” zniknęła, choć obraz pozostawał ten sam. Taki los spotkał choćby znajdujący się berlińskim muzeum obraz „Mężczyzna w złotym hełmie”. Gdy portret przypisywano Rembrandtowi, gromadził tłumy urzeczony jego niezwykłym oddziaływaniem. Dziś, gdy zdementowano wcześniej uznane autorstwo, jest tylko jednym z eksponatów. Aura przysła!

Może stawianie znaku równości między gwiazdą rocka a dziełem sztuki wydaje się karkołomne, jednak moc przypisywana oryginałowi wydaje się podobna w obu przypadkach. Żyjemy w czasach produkcji masowej i masowych mediów, a to wpływa na nasze postrzeganie świata. Uznajemy za równoprawne liczne kopie tego samego zdjęcia czy tej samej płyty,



Aussie Floyd – to jak Pink Floyd z większą ilością kangurów!



Sobowtóry w akcji: argentyńscy muzycy odtwarzający muzykę i wygląd Freddiego Mercury i Briana Maya.

Dios Salve a la Reina, czyli God Save The Queen – argentyński tribute band grupy Queen.



ale z tym większym przekonaniem broni unikalności w sytuacjach, w których nie można jej zwielokrotnić. Oczywiście, można podziwiać reprodukcję w albumie, tak jak można przeżyć zachwyt w czasie koncertu „tribute bandu”, ale w czasie jednej i drugiej czynności gdzieś z tyłu głowy będzie rozbrzmiewać ciche: „szkoda, że to nie oryginał”. I chyba właśnie tu – z tyłu głowy – rodzi się paradoks, którego istotę wyraził użytkownik YouTube’a, komentujący fragment koncertu jednego z „tribute bandów”: „są tak podobni do oryginału, że tym bardziej mi go brakuje”. Rzeczywiście, kiedy słuchamy twórczych przeróbek, podobne odczucie się nie pojawia. Im zaś zespół podobniejszy do ulubionego, im wykonanie bardziej zbliżone do oryginału, tym bardziej oczywiste się staje, że czegoś istotnego brakuje. To spostrzeżenie tylko pozornie wyraża paradoks – pozorom wszak nie wolno ufać, gdy w grę wchodzi przywracani do życia dawno zmarli artyści i uzdolnieni doppelgängerzy!

Znamienne, że motyw duchów i sobowtórow stał się tak popularny w wieku XIX, kiedy technika – choćby fotografia – umożliwiła masowe, idealne powielanie. Widma i doppelgängerzy stały się maską masowości, której romantyczna estetyka dawała odpór, za główną jakość sztuki uznając jej nowatorstwo i wyraźnie oddzielając ją od przemysłu masowego. Umberto Eco w eseju „Innowacja i powtórzenie” zwracał uwagę na fakt, że dziś, gdy granice między kulturą masową i wysoką „stały się bardzo cienkie” (włoski semiotyk bał się chyba przyznać, że przestały istnieć), idealne dzieło musi być wypadkową innowacyjności i schematu (wtórności). Pod tym względem działalność „tribute bandów” – czystej wtórności, bez krzty innowacyjności – byłaby oczywistą artystyczną porażką.

Skąd zatem ich popularność? Podpowiedź sugeruje Eco. Jest taka sytuacja, w której możliwe jest nieustanne powtórzenie, bez najmniejszej innowacji! Dzieje się tak, gdy powtarza się mit, jakąś formę świętości. Jeśli za taką formę uznamy muzykę ulubionego artysty – a chyba właśnie tak robią najwierniejsi fani – przeniesiemy się na grunt, na którym powtórzenia przynoszą imponujący skutek: duchowy czy psychologiczny. Nawet jeżeli muzyka rockowych doppelgängerów jest pozbawiona wartości artystycznej, to może, musi wręcz, działać na innym poziomie. Może głos w głowie słusznie szepcze „szkoda, że to nie oryginał”, ale gdzie lepiej zagłuszyć taki głos niż na rockowym koncercie? ■